

— Resztę niech pani nam zostawi; tylko niech się pani nie przestrasza żadnego szmeru, jakiby pani ewentualnie mogła usłyszeć. Ale niech pani pod żadnym warunkiem nie opuszcza pokoju wcześniej, aż my przyjdziemy.

— Cóż panowie zamierzacie?

— Przepędzimy noc w pokoju pani, aby zbać ten syk i gwizdanie, które panią tak przestrasza.

— Zdaje mi się, panie Stein, że pan sobie już wytworzył zdanie — rzekła Erna, biorąc za rękę detektywa.

— Może być — odparł Stein.

— W takim razie powiedz mi pan, na miłość Boską, kto winien śmierci nieszczęsnego dziewczęcia?

— Muszę mieć pewniejsze dowody w rękę, jeśli bym chciał o tem mówić.

— To może mi pan przynajmniej powie, czy biedaczka zmarła naturalną śmiercią, czy też sprawdza się moje przypuszczenie, że uległa nagłemu przestraszeniu?

— W to wątpię. Wedle mego przeświadczenia rzecz miała się inaczej. A teraz, łaskawa pani, musimy panią zostawić samą, bo gdyby profesor wrócił i zobaczył nas tutaj, cała nasza wyprawa nie zdałaby się na nic. Na razie więc żegnam panią. Niech pani nie traci odwagi, bo mogę panią zapewnić, że jeśli pani zastosuje się w zupełności do moich rad, to unikniemy wszelkich grożących pani niebezpieczeństw, które są może o wiele większe, aniżeli pani przypuszcza.

Obaj detektywi pożegnali się i poszli do karczmy. Tam usiedli przy oknie, wychodzącem na zamek, na to skrzydło zamkowe, w którym mieściło się mieszkanie starego profesora. Zmrok już zapadł, a oni nie ruszyli się od okna. Naraz Stein tracił kolegę w bok.

— Przyjechał — ozwał się szeptem.

— Kto?

— No, stary profesor.

Rzeczywiście z mroku wyłaniał się powoli wózek, na którym jechał profesor. Dojechawszy do bramy zamkowej, widocznie starowina się uniósł, bo zaczął groźnie wymachiwać rękami nad głową chłopaka, który go przywiózł. Wreszcie otwarto żelazną bramę i wózek wjechał w dziedziniec zamkowy.

W kilka chwil później w jednym z okien zamkowych zabłysło światło.

— Wiesz co, Paulsenie — ozwał się Stein — niepokoi mnie to trochę, że masz dzisiaj iść razem ze mną do zamku; przecież ty masz żonę i dziecko. Sprawa nie jest bezpieczna, możesz mi wierzyć, a nawet możliwe jest, że mogą zajść rzeczy najgorsze.

— Ależ proszę cię, o ile ci się tylko mogę przydać, to rzecz naturalna, że zostanę z tobą.

— Obecność twoja może mieć nieocenioną wartość.

— W takim razie stanowczo idę z tobą.

— Dziękuję ci, to prawdziwie po przyjacielsku.

— Mówiłeś o niebezpieczeństwie? Prawdopodobnie w zamku widziałeś więcej, aniżeli ja mogłem odkryć.

— To nie, tylko ja prawdopodobnie wyciągnąłem z tego więcej wniosków. Widziałeś przecie tyle, co i ja.

— Nie bardzo.

— Jakto? Nie widziałeś wentylatora w sypialni hrabiny?

— Widziałem, ale to przecie otwór taki mały, że z pokoju profesora możnaby przezeń chyba tylko węża przesunąć.

— O tem, że znajdziemy wentylator, wiedziałem przedtem jeszcze, zanim tu przyszliśmy.

— Ależ, mój kochany! — zawołał Paulsen, ściskając usta do niedowierzającego uśmiechu.

— Tak, tak. Przypominasz sobie może, że hrabina opowiadała, iż czuła w swoim pokoju dym z papierosów starego profesora. To kazało mi od razu przypuszczać, że między gabinetem profesora a sypialnią hrabiny jest jakieś połączenie. Mogło ono być ogromnie małe, bo inaczej komisya sądowa łatwo by je odkryła, doszedłem więc do wniosku, że chodzi tutaj o maleńki wentylator.

— No, ale w tem niema jeszcze nic niebezpiecznego.

— Mój przyjacielu, przynajmniej jest to rzecz ogromnie ciekawą; zważ tylko, co za dziwny związek. Kobieta, śpiąca w łóżku, umiera nagle, w kilka dni potem, jak ponad łóżkiem wybito wentylator. To przecie musi każdego uderzyć.

— Mimo to nie mogę się w tem wszystkim dopatrzeć związku.

— Nie zauważyłeś nic szczególniejszego na łóżku?

— Nie.

— Przecież łóżko przymocowane jest do podłogi. Widziałeś coś podobnego?

— Musiałbym żelgać, by powiedzieć: tak.

— Kobieta ta nie mogła więc łóżka przesunąć, czyli innemi słowy, łóżko musiało stać tuż obok wentylatora.

— Wiesz co, mogę ci pogratulować — rzekł Paulsen, ściskając Steinowi rękę. — Powoli zaczynam cię pojmywać. Więc przyszliśmy akuratnie w sam czas, aby zapobiedz ohynej, straszliwej zbrodni.

— Bez kwestyi ohydnej i potwornej. Jednak — czeka nas jeszcze dzisiaj dużo okropności; pozwólże więc, że sobie spokojnie wypalę fajeczkę i o czemś weselszem pomyślę.

Była może godzina dziewiąta, kiedy światła w zamku pogasły i cały gmach zatonął w mrokach nocy. Dopiero po dwóch przeszło godzinach, około jedynastej, w jednym z okien zabłysła lampa. Stein aż skoczył na równe nogi, zobaczywszy ją.

— To znak dla nas — lampa w oknie środko-

przez otwór — szepnął Stein, a Paulsen znowu skinął głową.

Po chwili Stein ozwał się znowu:

— Ale nie zaśnij przypadkiem, bo możesz to życiem przypłacić. Rewolwer miej w pogotowiu; ja sobie siadę na łóżku.

Paulsen wyjął rewolwer i położył go cicho na samym rogu stołu, aby w razie wypadku mieć go pod ręką. Stein położył obok siebie szpicrutę, puścił zapalnik i mały stoczek, poczem skrzył lampę i pokój zaległa ciemność i głucha cisza, przerywana tylko od czasu do czasu dźwiękami dzwonu kościelnego, wybijającego powoli kwadransy i godziny.

Nareszcie wybiła dwunasta. Wtem około wentylatora pojawił się przelotny błysk światła, który zaraz znikł, a do pokoju doszedł zapach palącej się oliwy i rozgrzanego żelaza. Widocznie w drugim pokoju zapalił ktoś krytą latarkę. Jakiś ledwie dosłyszalny ruch — potem znowu cisza — tylko swąd powiększał się coraz bardziej.

Przez pół godziny siedzieli obaj detektywi z zapałym oddechem, wyteższy słuch. Naraz dał się słyszeć jakiś dziwny głos, jakiś lekki, łagodny świst, podobny do świstu syreny.

Jak błyskawica zeskończył Stein z łóżka, zapalił zapalnik i uderzył jak wściekły w drzwiczki wentylatora.

— Widzisz, Paulsenie — zawołał — widzisz! — Wąż! Żmija!

Zbladł jak ściana, a na twarzy jego przebiegało się przerażenie i groza. Przestał bić szpicrutą i wpatrywał się w otwór wentylatora.

W tej chwili z drugiego pokoju dobiegł straszliwy, niemożliwy do opisanego krzyk, który grozą przebiegł cały zamek. Ból, wściekłość, trwoga, to wszystko czuć było w tym przeraźliwym krzyku.

— Cóż to może znaczyć? — szepnął Paulsen drżącymi wargami.

— To znaczy, mój kochany, że wszystko skończone — odparł Stein — a może tak i lepiej. Zabierz rewolwer, pójdziemy do pokoju profesora.

Zapalił lampę i wyszedł pierwszy na korytarz. Dwa razy zapukał do drzwi profesora, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Chwycił więc za klamkę i wszedł, a za nim Paulsen.

Straszliwy obraz przedstawił się ich oczom, potworny swoją grozą, tak, że nawet obaj detektywi, którzy przecie nieraz już widzieli podobne sceny, cofnęli się przerażeni ku drzwiom, jakby za nimi chcieli szukać pomocy.

ROZDZIAŁ XXV.

W sypialni profesora.

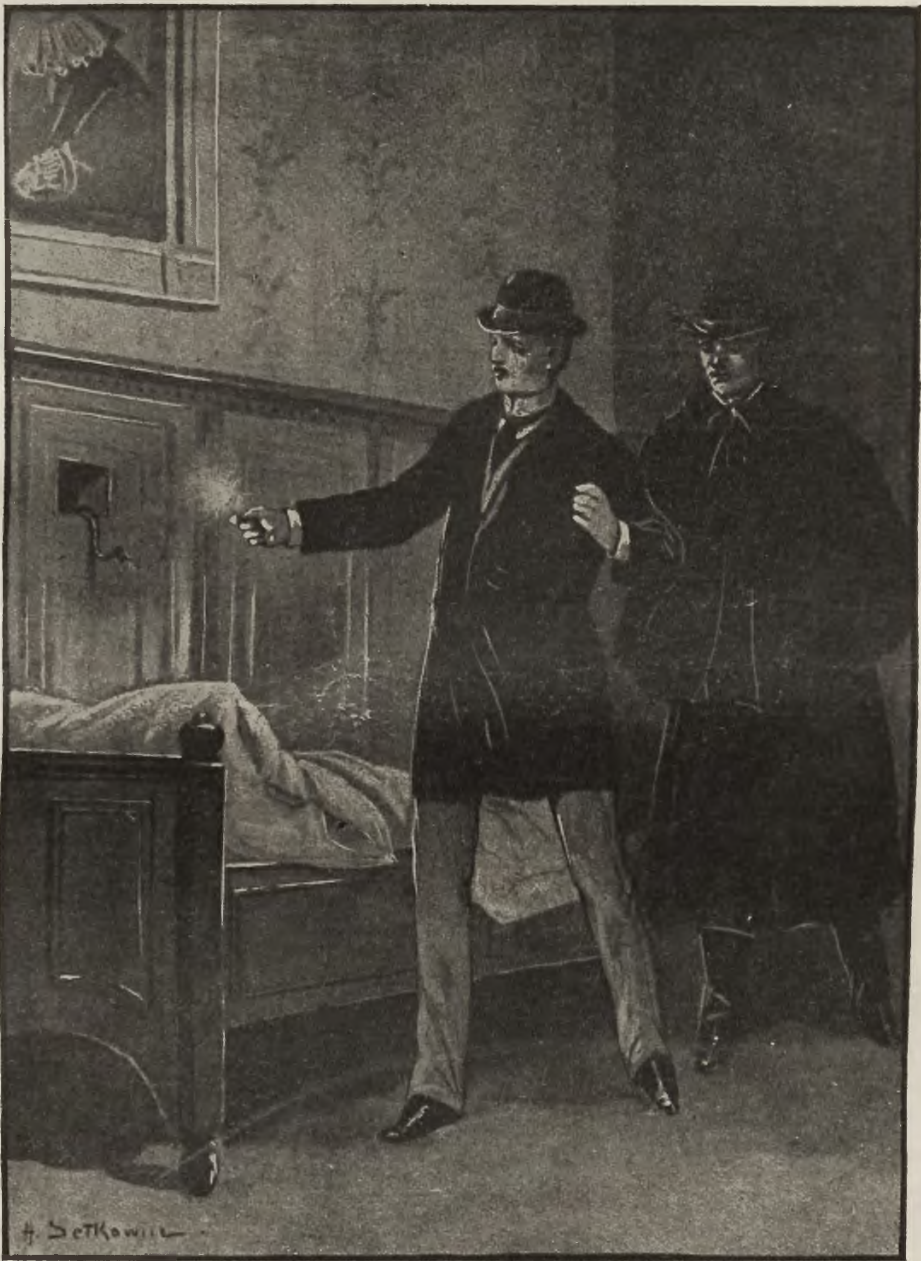
Na stole stała kryta latarka, z której wydobywał się wąski pasek światła i padał na szafę, stojącą otworem koło stołu siedział na prostym drewnianym krześle stary profesor, otulony w długi, szary szlafrok; na nogach miał czerwone, haftowane indyjskie pantofle. Głowę przechylił w tył i martwymi oczyma wpatrywał się w kąt pokoju. Naokoło głowy miał owinięty jakiś zawój, ozdobiony pstrymi centkami.

Gdy obaj detektywi weszli, nie ozwał się ani słowem, nie ruszył się ani z miejsca.

— Ten zawój — patrzajno! — szepnął Stein do swego kolegi i obaj przybliżyli się na palcach do stołu.

Naraz ten szczególny zawój zaczął się poruszać i ku przerażeniu detektywów podniosła się nagle z pomiędzy włosów profesora głowa ohydnej żmiji, osadzona na cienkiej szyjce.

(Ciąg dalszy nastąpi).



....Widzisz, Paulsenie — zawołał — widzisz! — Wąż! Żmija!....

wego pokoju — rzekł, chwytając przyjaciela za rękę.

Obydwaj opuścili karczmę, zapowiadając gospodyni, że wybierają się jeszcze do jednego ze swych przyjaciół, u którego może noc całą przepejdą i wyszli na pole.

Odrzucał powiał na nich mroźny wiatr północny, który chłodził ich rozpalone gorączką czoła. Szli wśród ciemności, zapatrzeni jeno w blask lampy z zamku, jak żeglarze wpatrują się w gwiazdę na zachmurzonym horyzoncie.

Przeszli przez mur, otaczający zamek i dostali się na dziedziniec. Doszedłszy do pałacu zdjęli obuwie i ku swemu niezmiernemu zadowoleniu doszli, przez nikogo niespostrzeżeni, do sypialni. Stein zamknął okienice, postawił lampę na stole i rozglądał się po pokoju. Wszystko było tak samo, jak za dnia. Potem nachylił się do Paulsen, który siedział na dywanie, złożył ręce przy ustach i rzekł doń tak, że on go tylko mógł słyszeć:

— Najmniejszy szmer zniweczy całą naszą robotę.

Paulsen skinął głową na znak, że wie, o co się rozchodzi.

— Nie możemy świecić, bo on to zaraz spostrzeże